

Kolonializm made in England – 7

15 kwietnia 2018

Początki procedury odbierania dzieci zbiegają się w czasie z tworzeniem misji różnych odłamów chrześcijaństwa, w tym protestanckiego, katolickiego i anglikańskiego. Jak wiadomo z historii innych krajów kolonialnych, misjonarze idą w drugiej linii za odkrywcami i zdobywcami.

Wszystko po to, aby z jednej strony zapewnić im oraz rzeszom osadników religijną posługę, z drugiej zaś dalej powiększać szeregi swojego Kościoła poprzez nawracanie krajowców, czyli miejscowych pogan.

Australia oczywiście nie była wyjątkiem i pierwsze misje powstały już w ostatniej dekadzie XVIII wieku, aby następnie rosnąć jak grzyby po deszczu gdzie się tylko dało.

Jednakże Aborygeni wcale nie byli zachwyceni nawracaniem. Mieli swoją odwieczną kulturę, której potężnym filarem była równie odwieczna religia. W zasadzie kultura, religia, kodeks etyczno-moralny, życie codzienne oraz liczne obyczaje są tak przemieszane ze sobą, że stanowią jedną nierozzerwalną całość. Ich wierzenia były i nadal są czystym mistycyzmem – mistycyzmem praktykowanym na co dzień, ponieważ każdy Aborygen nieustannie ma kontakt z metafizycznym światem, czyli część swojej codziennej egzystencji spędza wewnątrz siebie, w swoim mentalno-duchowym wnętrzu. Ich religia jest zatem prawdziwą duchowością w najlepszym wydaniu i naturalnie jest totalnie niezrozumiała dla chrześcijan, którzy dawno, dawno temu, na samym początku chrześcijaństwa, całkowicie zatracili ten kontakt, zaś powstały twór religijny od samego początku zachowuje kierunek skrajnie materialistyczny.

Oczywiście w misjach nikt sobie nie zawracał głowy próbami zrozumienia aborygeńskich wierzeń. Uznano je z miejsca za

pogańskie i każda misja mniej więcej w ten sam sposób próbowała je zniszczyć, z jednej strony przy pomocy wynaradawiania, z drugiej zaś pokrywania ich katechizmowymi doktrynami. Jednakże Aborygen w swej prostocie nie mógł pojąć, dlaczego ma się uczyć języka angielskiego, żeby poznać i zacząć wierzyć w jakiegoś nieznanego boga, skoro posiada już doskonały sposób porozumiewania się między sobą i ma swoich bogów, z którymi jest o wiele bliżej, bo ich nieustanną obecność czuje 24 godziny na dobę.

Mimo to misjonarze zaliczali sztuki. Dla lokalnych grup rodzinnych i plemion organizowano festyny i uczty, podczas których dokonywano aktu chrztu polewając uczestników wodą i wypowiadając odpowiednie formułki. Aborygenom przyzwyczajonym do różnych ceremonii w niczym to nie przeszkadzało, po czym dziękując za poczęstunek odchodzili w busz, zaś misjonarze słali entuzjastyczne raporty do swoich przełożonych. Szybko się jednak zorientowano, że chrzest bez nauki nie jest zbyt wartościowy i nie idzie za nim chrześcijański tryb życia, czyli nawrócenie niczego nie zmienia. Aborygeni woleli chodzić nago i po paru krokach wyrzucali darowane im w czasie ceremonii ubrania. Nie uważali za stosowne chodzić do kościoła, modlić się i śpiewać niezrozumiałych, obco brzmiących pieśni. Powstał więc pomysł organizowania szkółek dla dzieci, w których mogłyby się uczyć angielskiego, dobrych obyczajów i przyzwoitości oraz czytania, pisania, rachowania i naturalnie katechizmu. Jednakże niewiele aborygeńskich rodzin chciało oddawać dzieci do szkoły, przede wszystkim dlatego, że plemiona były w ciągłym ruchu, przemieszczając się co kilka dni coraz dalej w głąb swojego terytorium. Kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby dzieci odbierać siłą, nie wiadomo.

W pierwszych dekadach XIX wieku grupy rodzinne i plemiona były coraz bardziej i coraz dalej spychane od swoich odwiecznych terytoriów. Pozwalano zostać tylko tym grupom, które godziły się na porzucenie koczowniczego trybu życia i oddanie dzieci do misyjnej szkoły. Wokół zabudowań misji zaczęły powstawać

osiedla prowizorycznych baraków, zaś ich mieszkańcy zobowiązani byli za dach nad głową i marne wyżywienie wykonywać wszystkie prace jakie tam akurat były. Kobiety prały, gotowały i sprzątały, mężczyźni zaś pracowali na misyjnych farmach, nosili wodę, rąbali drzewo oraz byli wynajmowani na okoliczne farmy w razie potrzeby. W ten sposób powstały pierwsze rezerваты Aborygenów w różnych miejscach Australii.

Choć należałoby się spodziewać, że ten system był stosunkowo lepszy, bo dzieci nadal były z rodzicami przez większość dobowego czasu, to jednak nie wszędzie uniknięto zabierania dzieci. Gdy w misji urodziło się dziecko mieszane, z reguły było odbierane rodzicom pod różnymi pozorami. Aborygeni w misjach żyli w skrajnej nędzy, więc rodzicom tłumaczono, że dziecku będzie lepiej i często wielodzietne matki pod presją podpisywały dokument o przekazaniu dziecka rządowej lub prywatnej organizacji. Matka nie bardzo wiedziała co podpisuje, a gdy się zorientowała, dziecka już nie było. Wiele dokumentów tego typu tworzone po fakcie. Dziecko odbierano siłą lub porywano spośród bawiącej się gromadki, a następnie, już w sierocińcu tworzone fikcyjny akt przekazania dziecka rządowi, podpisywany jakimś zygzakiem przez urzędnika sporządzającego dokument. Jeśli matka rodziła w szpitalu, prawie zawsze odbierano jej dziecko po kilku dniach pod byle pozorem. Na ogół mówiono jej, że dziecko umarło lub jest tak chore, że musi jakiś czas pozostać w szpitalu. Dalsza procedura była taka sama jak w przypadku odbierania dzieci siłą, tzn. dziecko było wywożone jak najdalej od rodziny i umieszczane w sierocińcu na identycznych zasadach i prawach jak odebrane dziecko pełnej krwi. Różnica polegała na tym, że w niewielu przypadkach zachowały się dokumenty dobrowolnego oddania dziecka i niektóre z nich istnieją do dzisiaj, pomagając obecnym organizacjom aborygeńskim w odtworzeniu przebiegu wypadków i łączeniu rodzin. Niemniej jednak, również w tym przypadku matka nie wiedziała, dokąd odesłano dziecko, zaś dziecko nie wiedziało skąd pochodzi. Jego kartoteka rosła

czasami do kilkuset stron, ponieważ dokładano do niej listy (które zazwyczaj „przepadały” po drodze), petycje, prośby itd. Jednakże w bardzo wielu przypadkach ewidencja, jeśli nawet początkowo istniała, bywała niszczone po paru latach, bo wychodzono z założenia, że jeśli rodzice zgodzili się na dobrowolne oddanie dziecka, tym samym zrzekli się do niego wszelkich praw.

Ustawy tworzone w parlamencie były jak zwykle dowolnie interpretowane i w zasadzie od miejscowych urzędników zależał sposób ich realizacji. A urzędnicy, jak to urzędnicy – bywali gorliwi i nadgorliwi, sumienni i niesumienni oraz opieszali. Przede wszystkim jednak byli biali i bynajmniej nie ukrywali się z rasistowskimi poglądami i niechęcią w stosunku do Aborygenów. Większość z nich była zupełnymi ignorantami i nawet nie starała się zrozumieć „czarnych”. To oczywiście sprawiało, że często od dobrego, a częściej złego humoru jakiegoś urzędnika zależało jak sprawy się potoczą. Łapówki nie wchodziły w grę, bo aborygeńska rodzina nie miała pieniędzy, a jeśli nie była wystarczająco pokorna i uległa, uciekano się do pomocy policji i przymusu.

Obecnie przypuszcza się, że w samym tylko okresie pomiędzy 1910 a 1970 rokiem odebrano Aborygenom ponad 100 tys. dzieci, choć jednocześnie istnieje domniemanie, że ta liczba prawdopodobnie jest o wiele wyższa, ale nieznana ze względu na zaniedbania w prowadzeniu ewidencji lub całkowity jej brak. Niektóre istniejące obecnie aborygeńskie stowarzyszenia twierdzą, że od jednego na trzy do jednego na dziesięć dzieci zostało w tym okresie odebrane i że nie istnieje rodzina aborygeńska, która w ciągu ostatnich trzech lub czterech pokoleń nie doświadczyła przynajmniej raz odebrania przynajmniej jednego dziecka. Z tej liczby jedynie niewielkiemu procentowi rodzin udało się odnaleźć. Odpowiedzialny za to jest oczywiście biurokratyczny chaos panujący przez wszystkie te lata aż do dzisiejszego dnia w tych organizacjach do spraw Aborygenów, gdzie kluczowe

stanowiska zajmują biali Brytyjczycy, brzydzący się Aborygenów i roboty, za którą się im dobrze płaci.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Piotr Listkiewicz

Źródło: pl.SputnikNews.com